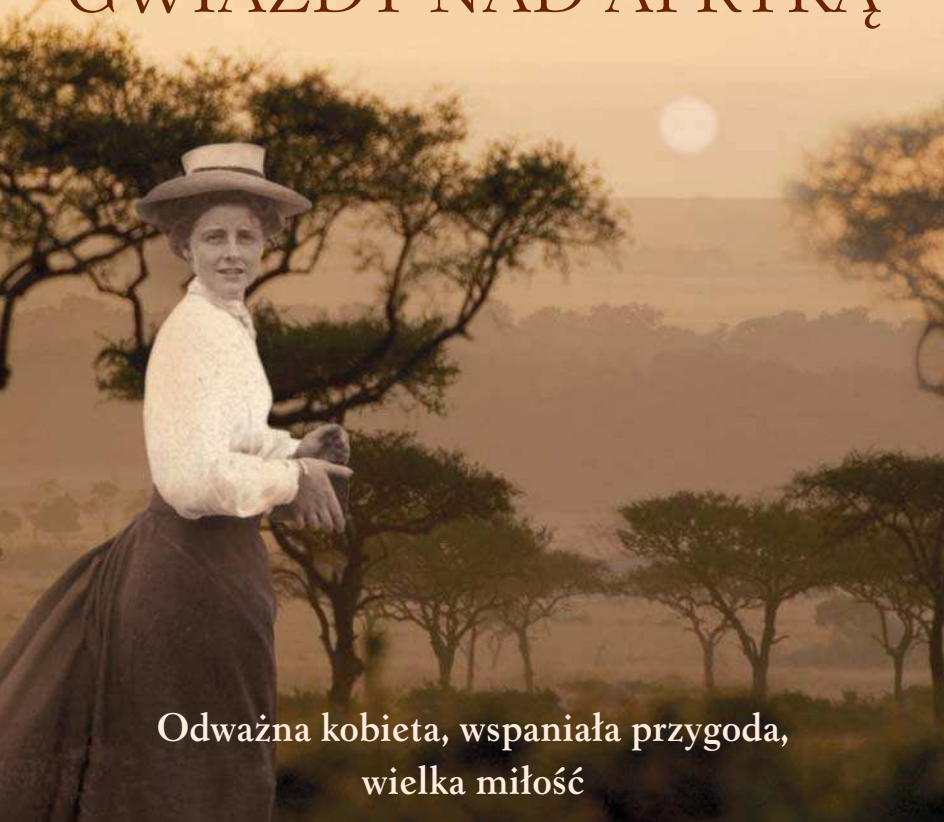




ILONA MARIA  
HILIGES

GWIAZDY NAD AFRYKĄ



Odważna kobieta, wspaniała przygoda,  
wielka miłość

Świat Książki



# GWIAZDY NAD AFRYKĄ

ILONA MARIA  
HILLIGES

GWIAZDY NAD AFRYKĄ

Z niemieckiego przełożył  
Wojciech Zahaczewski

  
Świat Książki

Tytuł oryginału  
STERNE ÜBER AFRIKA

Redaktor prowadzący  
Monika Koch

Redakcja  
Maria Wirchanowska

Redakcja techniczna  
Małgorzata Juźwik

Korekta  
Jadwiga Przeczek  
Monika Paulińska

Copyright © 2007 by Rowohlt Verlag GmbH,  
Reinbek bei Hamburg

Mapa na stronach 495–496 © Peter Palm, Berlin/Germany

Copyright © for the Polish translation  
by Świat Książki Sp. z o. o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o. o., Warszawa 2011

Świat Książki

Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Hankiewiczza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2698-1  
Nr 45120

*Czemu podróżujemy? Między innymi po to, żeby poznać ludzi, którzy nie udają, że znają nas na wylot; ale również, żeby raz jeszcze poczuć życie – a to już coś.*

Max Frisch, *Dziennik 1946–1949*

## Berlin, Wedding

Marzec 1885

Matka wepchnęła sobie w usta chustę. Nikt nie mógł usłyszeć, jak krzyczy. Pod szarą pościelą wypchaną słomą i gazetami wiła się z bólu. Jej córka siedziała nieruchomo, przyklejona plecami do wilgotnej, zimnej ściany. Drżąc na całym ciele, czekała, aż matka wreszcie przestanie jęczeć. Z tylnego podwórza dobiegały dziecięce krzyki, łoskot drewnianych wozów, wołania węglarzy. Wąskie i jedyne okno wysoko przy suficie o tej porze, późnym popołudniem, nie wpuszczało już prawie światła do sutereny.

Muszę zapalić lampę, pomyślała dziewczynka. Lecz nie poruszyła się – migoczący blask z pewnością obudziłby demony.

Matka wydarła chustę z ust. Kaszłała.

– Amelia... daj mi wody.

Jasny blaszany kubek wyraźnie odznaczał się na czarnej żeliwnej płycie kuchennego pieca, który zarazem miał ogrzewać pomieszczenie. Ostatnią szczapę drewna dziewczynka dołożyła rankiem, kubek był jeszcze ciepły. Matka z trudem wypięła kilka łyków i walczyła o oddech.

– Zapal światło.

– Dobrze, mamó.

Amelia przeszła kilka kroków do stołu pod oknem, na którym stała jedyna lampa naftowa. Przez dziecięcą nie-

zdarność pozwoliła lampie rozbłysnąć na chwilę z rozrzną siłą. Kiedy zmniejszyła płomień, by oszczędzić cenną naftę, zniknęła niegdyś wyraźna zieleń i czerwień kwiatów wymalowanych na tapecie. Wilgotne płaty papieru z czasem poodrywały się przy suficie i zwisały niczym czarne skrzydła wron.

– Musisz się modlić, wtedy wszystko będzie dobrze.

– Tak, mamó.

Matka ponownie wepchnęła chustę między zęby. Jej mokrą od potu twarz wykrzywił grymas bólu. Odchyliła głowę do tyłu, tak że na białej chudej szyi uwydatniły się nabrzmiałe żyły.

Oczy dziewczynki powędrowały do jedynej ozdoby wiszącej na ścianie – czarnej tabliczki, na której widniały białe, ozdobione zawijasami litery. Matka często tłumaczyła jej, co tam jest napisane.

*Dziękujcie Bogu, bo czyni dobro.*

Jednak w tej chwili sześciolatniej Amelii nie przychodziła na myśl żadna modlitwa. W głowie miała jedynie pustkę i strach. Podniosła kubek, który upuściła matka, postawiła go na piecu i wlała odrobinę wody z o wiele dla niej za ciężkiego dzbana.

Matka wiała się, a jej zeszpecona bólem twarz przypominała zwierzęcy pysk. W końcu odrzuciła kołdrę. Po między jej rozkraczonymi chudymi nogami błyszczała ciemna kałuża. W niej, drobne i sinobiałe, leżało coś, co wielkością i kształtem przypominało lalkę. Matka chwyciła to i położyła sobie na brzuchu. Wstrząsał nią głośny kaszel.

– Podaj ze stołu nożyce do materiału.

Sztywna z przerażenia córka nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

– No już, nie stój tak!

Nożyce leżały między lampą a stertą płócienną bielizny, w której trzeba było porobić dziurki i przyszyć guziki.

Aż do dzisiejszego poranka obie nad tym pracowały. Nożyce stanowiły najważniejsze narzędzie pracy matki jako krawcowej. Nie wolno było dopuścić, aby się zamoczyły, bo mogłyby zardzewieć.

Amelia nie miała odwagi spojrzeć na kształt, który matka trzymała na brzuchu.

– Przetnij tu.

Nie mogę, chciała powiedzieć. Lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Pragnęła jedynie wrócić do zimnego, wilgotnego kąta między drzwiami a stołem.

Matka odebrała jej nożyce. Nie miała jednak dość siły. Gruby sznur łączący ją z tym czymś, był zbyt mocny. Znow zatrząśł nią kaszel.

– Ty to zrób.

Drżącymi rękami dziewczynka ujęła nożyce. Zimna jak lód dłoń matki poprowadziła ją przez krew i śluz. Dziewczynka zamknęła oczy i otworzyła je dopiero wtedy, gdy duża matczyzna dłoń puściła jej rączkę.

– Bóg ma nas w opiece. Nie żyje. – Matka oddychała szybko. – Zawieź to w gazetę. Potem włóż do miski i wsuń pod łóżko.

Posłusznie, lecz z odrazą, córka chwyciła to zakrwawione i śluzowate coś, żeby zrobić, co kazała matka. Następnie wytarła dłonie w resztki gazet, które zebrała dzień wcześniej. Zakrzepła, niemal czarna krew nie chciała zejść z rąk.

Matka przewróciła się na bok. Kaszłała, plując krwią. Krew była wszędzie, przesiąkł nią wypchany sianem materac, tak że skapywała na podłogę. Matka drżała, kiedy Amelia naciągała na nią ciężką, sztywną kołdrę.

– Mamo? Mamo! No powiedz coś.

Odpowiedzi nie było. Zrozpaczona dziewczynka spojrzała w górę w kierunku wąskiego okna – słaby blask latarni gazowej stojącej na podwórzu nie docierał do sufereny. Ludzkie głosy ucichły, nastąpiła noc. Mała wróciła

do wnęki przy drzwiach. Najchętniej uciekłaby od razu. Jednak nie mogła zostawić matki. Na całym świecie miały przecież tylko siebie.

Nieregularny oddech kobiety ucichł. Dziewczynka przykucnęła w swoim kącie. Spod drzwi wpełzał do pomieszczenia zimowy chłód, jednak dziewczynka nie miała odwagi położyć się z matką w jedynym łóżku. Opatuliła się jej płaszczem, lecz mimo to marzła. Płaszcz nie był w stanie jej ogrzać, dygotanie wychodziło bezpośrednio z brzucha i rozpełzało się po rękach i nogach. Złożyła ręce pod brodą. Chciała się modlić – tak jak kazała jej matka.

Przerażona rozpostarła palce i spojrzała na umazane krwią dłonie.

Co one zrobiły?

Niemiecka Afryka Wschodnia,  
góry Usambara  
Lipiec 1891

Noc była głośna. Dużo głośniejsza, niż mogła się spodziewać po życiu w puszczy dwunastoletnia dziewczynka wychowana w milionowym Berlinie. Jednak szmer, który tej nocy obudził Amelię, był obcy. Coś dziwnego rozbrzmiewało w powietrzu.

Amelia leżała cicho pod moskitierą na prymitywnym łóżku z lin i bananowych liści i wsłuchiwała się w afrykańską noc. W ścianach chaty chrobotało robactwo. Nietoperze delikatnie muskały rozłożystymi skrzydłami dach z faszyny i palmowych liści. Z oddali dochodziły nawoływania strażników – porozstawiani na skraju pola kukurydzy dodawali sobie otuchy. Każdej nocy wystawiano wartę, żeby odstraszać małpy, ponieważ pod osłoną mroku próbowały kraść plony i gotowe były bronić ich długimi kłami.

Ściany chaty, nie grubsze niż przedramię Amelii, stanowiły jedyną ochronę przed puszcza.

Blask księżycy rozjaśniał prześwitującą tkaninę zasłon. Na skrzyni służącej za stolik stała szklanka wody, której gładka powierzchnia nagle zdrząła. Chwilę później w pobliżu rozległ się łoskot łamanych gałęzi.

Coś ciężkiego przedzierało się przez gąszcz i było coraz bliżej.

Rozbudzona Amelia spojrzała na łóżko obok; blond czupryna jej starszego brata nie poruszała się.

Nagły ryk sprawił, że Amelia zamarła. Słonie!

Serce łomotało jej w gardle, kiedy usiadła na łóżku i ostrożnie odsunęła moskitierę, a następnie zasłonę i wpatrywała się w mrok. Kilka cienkich jak kościotrupy drzew chybotą się na skraju dżungli w jasnej poświacie księżyca. Słonie sunęły bardzo blisko chaty, lecz ich zarysy były ledwo widoczne w gąszczu.

Amelia postawiła stopy na zimnej glinianej podłodze i po omacku skierowała się ku drzwiom.

– Nie, Amelia, stój! To niebezpieczne!

– Wstawaj Georg, natychmiast! Słonie nie mogą dostać się na plantację. Stratują sadzonki!

– Gorzej będzie, jak stratują ciebie. Pamiętaj, co mówił tata: mamy siedzieć w domu!

Dziewczynka w napięciu wpatrywała się w noc. To musi być całe stado, całkiem blisko, idące pod górę. Wielkie, ciężkie zwierzęta. A mimo to widać tylko ich czarne cienie.

Zarządca Damasso opowiadał jej kilka dni wcześniej, że słonie tuż przed świtem wychodzą z doliny, żeby zagłębić się w jeszcze większej gęstwinie położonej ponad farmą.

– Myślisz, że mogą stratować naszą chatę? – zapytała cicho.

– Głupie pytanie. Jasne, że mogą. Tylko po co miałyby to robić? – Głos o dwa lata starszego brata brzmiał nieco zrzędlawie. – Kładź się spać.

Amelia chwyciła pręty bambusa, które miały zastępować okienne szyby, choć i tak nie stanowiły żadnej przeszkody dla myszy, owadów i węży. Trzask gałęzi na zewnątrz ucichł. Dziewczynka spojrzała na szklanekę wody obok łóżka, która niczym sejsmograf zapowiedziała nadejście stada i która teraz oznajmiała jego oddalanie się.

Amelia wczółgała się z powrotem pod moskitierę, opadła na łóżko i rozbudzona wpatrywała się w sufit. Wzdłuż belkowego stropu ciągnął się niewyraźny cień. Z łóżka obok znów dobiegał równomierny oddech. Jak Georg to robi? Jak może spać, kiedy noc jest taka niespokojna? Ona sama, kiedy tylko na chwilę za dnia przysiadła gdzieś w cieniu, nie mogła pohamować senności. W dzień potrafiła rozpoznać wszystkie zagrożenia. Noce za to były nieprzeniknione.

Amelia już dawno zrozumiała, że to nie owadów tak bardzo się boi – przed nimi chroniła moskitiera. Chodziło o strach, który pojawiał się, gdy gaśło światło lampy naftowej. Dlatego właśnie w pierwszych miesiącach ich nowego życia w Afryce ojciec wysyłał dzieci spać, zanim ciemność zdążyła spowić farmę. Nie umiał jednak uciszyć odgłosów, które w nocy stawały się dużo wyraźniejsze.

Pod kocem zeszywniałym od nocnej wilgoci Amelia czekała, aż wróci sen. Dygotała. Tu na górze, na wysokości tysiąca dwustu metrów, różnica temperatur między dniem a nocą wynosiła dwadzieścia stopni: trzydzieści w dzień i dziesięć w nocy. Dlaczego w Afryce robiło się tak zimno, kiedy słońce chowało się za górami? A może marzła ze strachu?

Matka i ojciec zostali wraz z Hansem w oddalonym o kilkaset metrów szpitalu dla tubylców. Najstarszy brat, chociaż z całej trójki rodzeństwa najbardziej krzepki, zachorował pierwszy. Biegunka i wysoka gorączka. Właśnie Hans, który chodził do niemieckiej szkoły w Tandze i mógł wreszcie spędzić dwa tygodnie ferii z rodziną! Lubiała go dużo bardziej niż mruka Georga, który wciąż tak bardzo tęsknił za domem w Berlinie. Gdyby Hans usłyszał słońce, wybiegłby razem z nią, żeby przepędzić olbrzymy. Hans kochał przygodę – on pierwszy z całej trójki dzieci Freyerów cieszył się z wyjazdu do Afryki.

Amelia nerwowo przewróciła się na bok. Myślami powędrowała do wielkiego domu przy Lietzenburger Strasse. Był wieczór, wszędzie świeciło się światło, matka grała na fortepianie, ojciec podejmował gościa w gabinecie, służąca przygotowywała w kuchni kolację.

Pies szczekał i za nic nie chciał się uspokoić.

Kiedy dziewczynka otworzyła oczy, okazało się, że to nie było szczekanie Charliego, ich foksteriera. Dolatywało zewsząd, zza cienkich ścian chaty.

To mały wrzeszczały na alarm wysokimi, ochryplymi głosami.

Już kiedyś się tak zachowywały, kilka tygodni wcześniej. Wtedy między chatami przemykał lampart. Dla mały był to wróg groźniejszy niż człowiek, któremu wystarczyło zagrozić wyszczerzonymi zębami. Lampart mógł wspinać się za nimi na drzewa i wykradać matkom dzieci. Nawet strażnicy na polach, jak tylko ktoś krzyknął: „Chui!”, rzucali pochodnie i pędzili do domów. Przed kilkoma tygodniami ojciec wyjął strzelbę ze skrzyni i odważnie udał się na poszukiwanie *chui* – lamparta. Cętkowany kot siał spustoszenie w zagrodzie dla kóz. Zdążył zabić dziewięć sztuk, zanim ojciec stanął przed nim ze strzelbą gotową do strzału. W południe szlachetne futro lamparta, umyte w roztworze z soli i ałunu, suszyło się w słońcu rozwieszona na gałęziach. Amelia stała z szacunkiem przed głową zabójcy i podziwiała jego ostre kły.

Paniczne okrzyki mały przycichały, Amelia wywnioskowała zatem, że zagrożenie minęło. Nagle jednak ciszę przerwał krzyk przeszywający do szpiku kości.

Amelia chwyciła brata za ramię.

– Georg, Georg, obudź się! Ktoś potrzebuje pomocy! Nie słyszysz?

– Co mam słyszeć, kiedy tak krzyczysz? – odburknął i usiadł na łóżku.

W oddali znów rozległ się krzyk. Przerażone dzieci spojrzały na siebie. I zaraz usłyszały nawoływania dobiegające ze wszystkich stron: „Chui, chui!”.

– Musimy coś zrobić, Georg! – wyszeptała nerwowo Amelia.

– Co, do diabła, chcesz zrobić? Murzyni tak się dra, że lampart zaraz ucieknie.

Światło za zasłonami nabrało szarego odcienia świtu. Na zewnątrz ludzie krzyczeli jeden przez drugiego, w panice, w strachu. Amelia nie rozumiała, co wołali. Posługiwali się jednym z dialektów górskich plemion, a te wciąż były dla niej zagadką. Zerwała się z łóżka, rwąc przy tym moskitierę.

– Uważaj, co robisz! – parsknął starszy brat.

Nie zwracała na niego uwagi. W długiej do ziemi koszuli nocnej podbiegła do drzwi uplecionych z bananowych liści i faszyny, odłożyła gałąź służącą za rygiel i wyszła na zewnątrz. Widok był jak zwykle zniewalający. Przed nią rozciągała się sawanna, a w oddali majaczyła czerwień wschodu słońca.

I znowu krzyk – jeszcze bardziej przerażający niż poprzednie. Amelia bez chwili wahania wróciła do chaty, włożyła buty i otworzyła skrzynię.

– Nie wolno ci! – krzyknął Georg, wychyliwszy się zza moskitiery. – Ojciec będzie wściekły, jeśli weźmiesz jego strzelbę.

Amelia objęła dłońmi długą lufę winchestera 1886.

– Jesteś starszy, Georg, ty to zrób. Któreś z nas musi strzelić, żeby ojciec nas usłyszał. Inaczej nie będzie wiedział, że ktoś potrzebuje pomocy.

– Przecież nawet nie wiesz, co się dzieje – odparł starszy brat, lecz odsunął się, gdy tylko spostrzegł zdecydowane spojrzenie Amelii. Zmierzwione blond włosy nadawały jej zadzierzysty wygląd.

Trzymając kurczowo ciężką strzelbę w obu dłoniach,

dziewczynka wyszła z chaty i skierowała się w stronę, z której dochodziły krzyki.

Winchester był zawsze naładowany, jednak Amelia nigdy dotąd nie dotykała broni. Widziała natomiast kilka razy, jak ojciec czyścił i oliwił strzelbę kupioną tuż przed wyjazdem do Afryki. Widziała, jak naciskał spust i strzelał.

Przeciągły krzyk, tym razem dużo bliżej, wskazał Amelii drogę do chaty Damassa i jego rodziny. Unosząca się nad ziemią mgła rozmywała zarysy domostw. Nie było widać żywej duszy. Dziewczynka dygotała i najchętniej zawróciłaby, by schować się za cienkimi, a jednak dającymi schronienie ścianami chaty. Lecz tam czekałby na nią tryumfujący wzrok brata.

– Damasso? Gdzie jesteś? Damasso? – zapytała w suahili w mglistą ciszę.

– Uciekaj, *bibi* Amelio! Szybko! *Chui* jest w naszej chacie!

W tym momencie lampart wyskoczył z chaty Damassa. Miał coś w pysku. Jak we śnie Amelia skierowała lufę na uciekający cień i nacisnęła spust. Nieoczekiwanie mocne szarpnięcie amerykańskiej strzelby powaliło dziewczynkę na ziemię.